

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**KLUB
SŁUG SERCA**

część czwarta



**Tom
6**

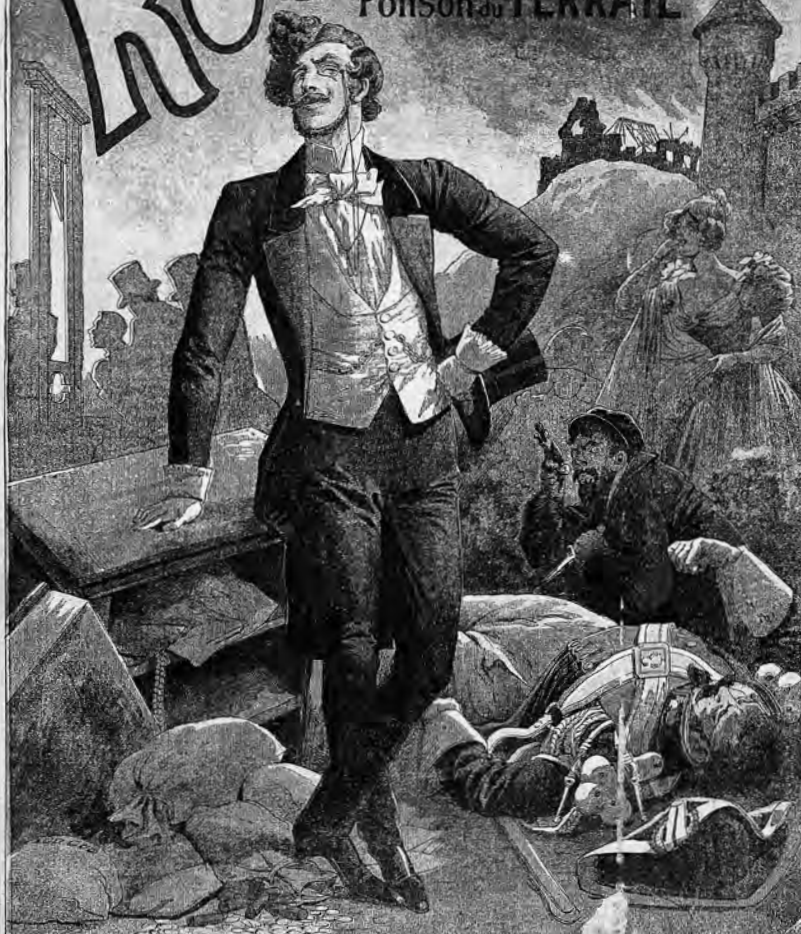


Ruda Śląska 2020
ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)
ISBN 978-83-66268-58-6 (część szósta)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Klub Sług Serca

część czwarta



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

[Kup książkę](#)

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Klub Sług Serca

część czwarta



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2020

[Kup książkę](#)

Osiemdziesiąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Szósty tom kolekcji
„Rocambole”

Tytuł oryginału francuskiego: *Le Club des Valets-de-Cœur*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2020

20 ilustracji, w tym 20 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020

ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)

ISBN 978-83-66268-58-6 (część szósta)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2020

[Kup książkę](#)

Rozdział LXXXV

W mansardzie



W chwili, gdy wchodzimy w ostatni okres dramatu, który sumiennie relacjonujemy, jesteśmy nieco zmuszeni zapomnieć o postaciach drugorzędnych, aby zająć się hrabią i hrabiną Kergaz, głównymi bohaterami naszych wydarzeń, wrogami, których nieubłagany sir Williams zachował w swojej głowie dla zwieńczenia dzieła nienawiści i zemsty.

Upłynęły trzy miesiące.

W małym hotelu usytuowanym obok parku de la Villette¹ przy ulicy de Flandre, na piątym piętrze w mansardzie, gdzie światło dzienne dochodziło jedynie przez małe, wybite w dachu okienko, pewnego majowego wieczora młodzieniec, którego blada wychudzona twarz wskazywała na wyczerpanie, wstał z łóżka i wydawał się wdychać z rozkoszą wiosenne powietrze, które wraz z promieniami słońca przez okienko, którego uniesiona rama wspierała się na żelaznym pręcie. Po mansardzie krzątała się stara kobieta przy drobnych pracach domowych.

Niewiasta o odrażającym wyglądzie od czasu do czasu ukradkiem spoglądała na złożonego cierpieniem młodzieńca i rzucała mu pełne przywiązania znaczące spojrzenia.

– Mamo – powiedział nagle młody człowiek, wydając się wychodzić z głębokich rozmyślań – jaki dzień miesiąca dziś mamy?

– Czternasty maja, drogie dziecko – odpowiedziała stara, podchodząc do łóżka i z rodzajem macierzyńskiej czułości gładząc grubą, pomarszczoną czerwoną ręką jasnokasztanowe włosy chorego.

– Czy wiesz, mamó, że już minęły trzy miesiące, jak leżę w tym łóżku jak decha?

¹ *Park de la Villette* – park na granicy XIX dzielnicy Paryża i przedmieścia Seine-Saint-Denis; w jego centrum znajduje się Cité des Sciences et de l'Industrie (Muzeum „Miasto Nauki i Przemysłu”), wokół którego znajduje się kilkanaście innych obiektów kulturalno-rozrywkowych; zlokalizowany jest na terenie dawnej paryskiej rzeźni i targu zwierząt; zajmuje 55 hektarów.

– Tak, moje dziecko, i to prawdziwy cud, że się z tego wygrzebałeś.
– Ba! Jest ze mną diabeł.
– Trzeba temu wierzyć! – szepnęła stara.
– Nie przeszkadza ci, mamó, że śmiertelnie się nudzę i wydaje mi się, że mógłbym wyjść na powietrze...
– Trzeba czekać, aż nadejdzie kapitan.
– Rozbójnik, nie kapitan! – mruknął chory. – Mało brakowało, a wysłałby mnie na tamten świat, ale to śmiały, rozumny człowiek!

Tym, który mówił takim nieco trywialnym językiem, był nasz stary znajomy Rocambole, były przewodniczący Klubu Sług Serca, były szwedzki wicehrabia i można by prawie powiedzieć, że były nieboszyk.

Starą kobietą przy nim, jak zgadujemy, była szanowna mama Fipart, dawna karczmarka z Bougival i była portierka z domu przy ulicy Ménilmontant.

Jak zatem znaleźliśmy po upływie trzech miesięcy, w tej okropnej norze podmiejskiej okolicy Paryża tego genialnego wicehrabiego de Cambolh, człowieka, którego widzieliśmy mieszkającego w rozkosznej antresoli przy ulicy Faubourg-Saint-Honoré, posiadającego konie, służbę, elegancki dog-cart, i którego zostawiliśmy ostatnio leżącego, skąpanego we własnej krwi, na parkiecie buduaru Dai-Nathy, rozciągniętego obok trupa Hinduski?

Właśnie o tym postaramy się w kilku zdaniach opowiedzieć.

Nazajutrz po dniu, w którym miał miejsce ten przerażający dramat, policja śledcza, pojechawszy na miejsce, by rozpocząć śledztwo, znalazła jeszcze oddychającego Rocambole'a obok już zimnego trupa Dai-Nathy.

Jedyny Europejczyk, jakiego Dai-Natha miała w swej służbie, powyłamywał zamki u mebli, przetrząsnął szafy, a skradłszy klejnoty swej pani, zbiegł w nocy. Inni służący byli Hindusami, zaledwie potrafili powiedzieć kilka słów po angielsku i mogli udzielić jedynie niejasnych i mylnych wskazówek.

Rocambole został przeniesiony do hospicjum. Nie miał przy sobie żadnych papierów, a stan, w jakim się znajdował, sprawił, że nie mógł potwierdzić własnej tożsamości. Wtedy to tłum, jak zwykle szukający emocji i starający się nadać każdemu wydarzeniu jakąś

romantyczną barwę, rozgłosił o tym tajemniczym dramacie wieści bardziej jeszcze zawikłane. Mówiono, że Dai-Natha, której ranny młodzieniec był kochankiem, w przystępie zazdrości zasztyletowała go, a następnie sama się otruła.

Przez dwa lub trzy tygodnie Rocambole pozostawał w strasznej gorączce, miał majaczenia, które nie pozwoliły mu rozeznaczyć własnego położenia. Młodość i pomoc znakomitych lekarzy jednak ocaliły mu życie.

Gdyby za pierwszym razem, odzyskawszy przytomność, ranny zobaczył swoje łóżko otoczone przez lekarzy i pielęgniarzy, będąc badanym, pytanym, może wyjawilby swoje nazwisko, naprowadzając sprawiedliwość na ślad swojej tożsamości. Tymczasem przypadek zrządził, że gorączka nagle opuściła go podczas nocy, w porze, kiedy zbiorowe sale szpitalne są jedynie dozorowane przez czuwających pielęgniarzy.

Rocambole był zbyt inteligentny, by nie zrozumieć, budząc się w tej rozległej i smutnej sali pełnej łóżek, gdzie tu i ówdzie przytłumione jęki wskazywały na leżących tam cierpiących ludzi, że w jego życiu wydarzył się nagły ciężki wypadek. Ból, jakiego doznał w tej chwili, utwierdził go w tym przekonaniu. Jego ręka napotkała opatrunek przyłożony na piersiach... Zrozumiał, że został raniony. Wówczas, zamiast przyzywać służbę i pytać, postanowił milczeć i poczekać, dopóki nieco się nie uporządkuje chaos jego myśli.

Prowadzona półgłosem rozmowa przez dwóch pielęgniarzy opowiadających sobie jego historię rozświetliła jego umysł.

Pielęgniarze powtarzali sobie wieści krążące wśród tłumu, a ta wersja wydarzenia powiadomiła Rocambole'a, że do tego dnia nie znano jego nazwiska i gubiono się w domysłach o jego pozycji społecznej.

Powtarzane słowa: „Aleja Lorda Byrona” była dla rannego promykiem światła. Przypomniawszy sobie Dai-Nathę, Sługi Serca i sir Williamsa... Wspomnienia wracały pojedynczo, jedno po drugim, najpierw pomieszane, a następnie powoli się segregowały i stawały jasne i logiczne.

Rocambole jak we śnie przeżywał całą scenę w buduarze Dai-Nathy. Widział Hinduskę leżącą bez życia na podłodze, markizę i Baccarat w głębi pokoju, hrabiego Artoffa i pana Van-Hop po obu stronach drzwi... Wreszcie nagle wpadającego sir Williamsa...

Dla rannego jedna sprawa pozostawała niejasna. Czy to markiz, czy też hrabia pchnął go sztyletem? A może był to sir Williams?

Wyjaśnienie tego pozostało dla niego tajemnicą. Gdyby nie położony na piersiach opatrunek potwierdzający ranę, Rocambole mógłby uwierzyć, że wszystko to było snem. Nie wierzył w to jednak, ponieważ ten ulubiony wychowanek, ukochany uczeń sir Williamsa, miał wpojone zbyt dobre zasady, by nie oceniać od razu swojej sytuacji.

„Jest oczywiste, że zawikłaliśmy się w sprawę Van-Hop – rozmyślał – i Dai-Natha nie żyje, więc pięć milionów przepadło. Ale to wszystko jeszcze nic, bowiem jest prawdopodobne, że kiedy się stąd wydostanę, pójdę do więzienia i do biura sędziego śledczego, dlatego należy sprawić, by moje majaczenie ciągle trwało, a w tym czasie ja będę czekał na rozwój wypadków”.

Ostrożny Rocambole, jak postanowił, tak uczynił. Udawał, że ma gorączkę, że jest nieprzytomny, a pewnego dnia usłyszał, jak jeden z chirurgów, opatrując mu ranę, powiedział do swego kolegi:

– Sądzę, że sprawiedliwość nie pochwyci wątku w sprawie wynikłej w alei Lorda Byrona. Jedyne człowiek, który by mógł wyjawić prawdę, do końca swoich dni pozostanie idiotą.

Faktycznie Rocambole cudownie odgrywał rolę idioty.

Kilka dni później jakaś stara kobieta przyszła do dyrektora hospicjum. Okryta łachmanami, o niegodziwej i odrażającej fizjonomii, wydawała się jednak mocno wzruszona, widać było łzy spływające jej po wyschniętych jak pergamin policzkach. Kobieta ta zażądała widzenia się z rannym, utrzymując, że jest przekonana, iż to jej syn. Wprowadzono ją na ogólną salę, gdzie leżał chory.

Rocambole, spojrzawszy na nią, od razu rozpoznał wdowę Fipart, która z okrzykiem radości otoczyła ramionami rannego i zaczęła szlochać.

– To mój syn! Mój syn! – powtarzała.

Jednocześnie szeptała mu cicho do ucha:

– Zatrzymaj swoją czerwoną szmatę albo zostaniesz połknięty.

Przełożywszy na potoczny język, znaczyło to: „Zamknij się, nie zaprzeczaj mi albo zostaniesz zabrany do sądu”.

Rocambole nie odpowiedział, ale ścisnął rękę starej kobiety. Potem spojrzał na nią z rodzajem gorączkowej uwagi.

– Ach! To ty, mamó? – powiedział wreszcie.

Wówczas dla całego personelu hospicjum stało się jasne, że stara kobieta w łachmanach była matką tego pięknego, elegancko ubranego młodzieńca, którego znaleziono we wspaniałym pałacu. Skąd jednak taki kontrast? Co miała znaczyć nędza tej matki przy dostatkach jej syna?

W dniu, kiedy padł pod sztyletem sir Williamsa, Rocambole miał na sobie piękną cienką bieliznę i wykwintne modne ubranie. Jedynie sługa, który splądrował pałac, uznał za stosowne zabrać mu zegarek i sakiewkę. Ta okoliczność była nawet w pewnym stopniu sprzyjająca dla Rocambole’a, w oczach sprawiedliwości usuwając podejrzenia, że mógł zabić Dai-Nathę dla rabunku.

Wdowa Fipart starała się jak najlepiej wytłumaczyć pierwszą część tego galimatiasu. Podczas gdy udawane majaczenie wydawało się ponownie ogarniać jej domniemanego syna, oświadczyła, że on nazywa się Ferdinand-Joseph Fipart, że przed trzema laty pełnił obowiązki kamerdynera u pewnego angielskiego dżentelmena, którego nazwiska zapomniała, a który przez dłuższy czas mieszkał w hotelu Meurice. Opowiadała, że dżentelmen ten na początku wiosny wsiadł na statek do Anglii i zabrał ze sobą jej syna. Przez trzy lata biedna matka, która kolejno zajmowała się handlem winem, była odźwierną w domu przy ulicy Ménilmontant, a w ostatnim miejscu sprzątaczką, nic nie słyszała o swoim dziecku. Nagle pewnego dnia ujrzała przybywającego do niej elegancko ubranego młodzieńca, siedzącego na angielskim koniu, i rozpoznała w nim byłego kamerdynera, swojego syna, który opowiedział jej swe dzieje.

Cała owa zmyślona historia, jaką wdowa opowiadała ze łzami w oczach, nie pomijając żadnego szczegółu, dała się streścić w kilku słowach. Domniemany kamerdynier w Londynie zawrócił w głowie córce hinduskiego nababa, zamieniając swoją liberię na ubiór szlachcica. Tą uwiedzioną Hinduską była Dai-Natha.

Wdowa opowiadała, że Hinduska była bardzo zazdrosna, że co rusz groziła jej synowi, że go zabije, gdyby nie okazał się jej wierny. Ta wersja tak dobrze potwierdzała obiegujące miasto wieści, że dla wszystkich stało się oczywiste, że była to szczerza prawda. Wdowa upominała się o swego syna. Wezwana przed sąd, powtórzyła te same



zeznania, poparłszy je metryką urodzenia syna, o którą nie wiadomo jak i kiedy się postarała, a która w zupełności odpowiadała wiekowi tego, który – jak twierdziła – był jej synem.

W końcu też doktorzy, omamieni przedłużającą się nieprzytomnością Rocambole'a, oświadczyli, że na zawsze utracił rozum. Oddano matce jej syna i Rocambole został przeniesiony na to poddasze na ulicy de Flandre, przy parku de la Villette, w jakim go odnajdujemy trzy miesiące po rozwiązaniu sprawy Van-Hop.

Tak więc ranny, siedząc na łóżku, mówił do wdowy:

– Chyba wiesz, mam, że zaczynam się nudzić? Chciałbym wyjść trochę, chociażby to nawet miało się nie podobać kapitanowi.

– Ach, drogie dziecko! – zawołała stara kobieta. – Sprzeciwić się kapitanowi! O czym ty myślisz?

– O co chodzi?

– Do licha! – powiedziała wdowa. – Wszak on jest mistrzem, więc skoro coś mówi, musi mieć do tego podstawy.

– Chcę wyjść poza rogatki – mówił dalej Rocambole – nieco na słońce, na powietrze. Ubiorę się w płócienną bluzę, zabiorę krótką fajkę. Już na tyle się zmieniłem, że nikt mnie nie rozpozna.

– Ależ kapitan ma tu przyjść!

– Tak sądzisz?

– Mówił o tym wczoraj.

– A więc czekajmy na niego. Podaj mi fajkę...

Wdowa Fipart przyniosła swemu przybranemu synowi fajkę, której zażądał, a nabijający ją Rocambole, któremu powracała wesołość, zaczął coś beztrząsco nucić.

„Wszystko nieważne – myślał sobie – wciąż mam szansę, a jeśli jeszcze jestem na tym świecie, to dlatego, że diabeł, mój krewny, z pewnością ma dla mnie jakąś niespodziankę”.

Naraz uwagę wdowy Fipart zwrócił odgłos kroków na schodach.

– Otóż kapitan nadchodzi! – powiedziała.

Był to rzeczywiście on, gdyż otworzył sobie drzwi kluczem i wszedł bez pukania. Tym kapitanem, jak można było zgadnąć, był sir Williams, a raczej wicehrabia Andrea, ten pobożny brat Armanda de Kergaz, świętobliwy człowiek, który tak ściśle zachowywał posty i nakazywał sobie umartwienia różnego rodzaju, wszedł ubrany jak

zwykle w długi ciemny surdut, kapelusz z szerokim rondem, obuty w wiązane trzewiki z nawoskowanej skóry, mający na rękach czarne wełniane rękawiczki. Chodził z pochyloną głową, wzrokiem skromnie wbitym w ziemię, a w całej jego postaci widniała pokora człowieka myślącego jedynie o zbawieniu duszy i odcinającego się od spraw tego świata.

Wchodząc, rzucił na Rocambole'a ukryte spojrzenie, w którym można było zauważyć coś w rodzaju miłości.

– Jakże się miewasz dziś, mój chłopcze? – zapytał.

– Dziękuję, mój wuju, już czuję się lepiej...

Sir Williams włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej paczkę cygar.

– Trzymaj to i odłóż tę swoją fajeczkę – powiedział. – Przyniosłem memu ukochanemu synowi doskonale *puros*.

– Jesteś bardzo miły, wuju – rzekł chory.

– Och, to jeszcze nie wszystko, mój kochany! – powiedział sir Williams z uśmiechem i spojrzał znacząco na Rocambole'a.

– Pięknie! – rzekł tenże, odgadując znaczenie tego spojrzenia. – Wreszcie będziemy dalej pracować?

– Do licha, tak!

– To szczęście, bo życie, jakie tu teraz prowadzę, zaczynało mnie nudzić. Poza tym nie jest ono... komfortowe.

– Ty, stara – powiedział sir Williams, zwracając się do wdowy – idź zaczerpnąć trochę świeżego powietrza na bulwarze, to dobrze ci zrobi...

Wdowa Fipart zrozumiała, że kapitan chciał pozostać sam na sam z Rocambole'em, więc wyszła.

Sir Williams usiadł na jedynym krześle znajdującym się w mansardzie i powiedział do swego ucznia:

– Teraz możemy swobodnie porozmawiać, a dla większego bezpieczeństwa, mówmy po angielsku.



Rozdział LXXXVI

Nowe plany



Mój drogi chłopcze – powiedział sir Williams do Rocambole’a ojcowskim tonem – przyznaję, że na pierwszy rzut oka poważnie cię skrzywdziłem.

– Do czarta! – odparł szczerze zagadnięty. – Ciężkie przewiny zaczynają się wtedy, gdy człowiek, którego chcieliśmy zabić, umiera z zadanej mu rany.

– To prawda, że to ja cię nieco zabiłem...

– To „nieco” jest wspaniałe – zauważył Rocambole.

– Każdy głupiec na twym miejscu, zamiast podać mi rękę, jak ty to uczyniłeś, doniósłby na policję, ale ty jesteś rozumnym człowiekiem.

– Przynajmniej nie mam do ciebie urazy...

– Łatwo więc zrozumiesz, jak logiczne było w tym przypadku moje postępowanie.

– Doprawdy? – rzekł ironicznie Rocambole.

– Sam osądź. Gdy przybyłem, byłeś zgubiony. Hrabia Artoff lub markiz Van-Hop na pewno by cię zabili.

– Tak mi się wydaje.

– Umarłbyś bez korzyści, ani dla siebie, ani dla mnie, ginąc z ich ręki. Wołałem więc cię zabić. Po pierwsze lżej jest umierać z ręki przyjaciela, a po wtóre pozwoliło mi to nagle zmienić sytuację. Stając się twoim zabójcą, nie mogłem być twoim współnikiem, więc mogłem zachować nadzieję na pomszczenie cię. Poza tym starałem się, by cię nie zabić...

– Z dwiema podobnymi szansami idzie się prosto na cmentarz – odparł Rocambole.

– Lub z jedną łagodnie rozpocząć na nowo swe interesy...

– Tak?

– I wypłynąć na szerokie wody.

– Potrzebuję tego, mój wuju, ponieważ mówiąc między nami, bardzo zamartwiam się obecnym położeniem.

– Jesteś jeszcze młody...

– To nie przyczyna, aby drzeć z zimna w mansardzie, mając poprzednio mieszkanie za dwa tysiące ecu czynszu.

– Brak ci cierpliwości, mój synu. Ta mansarda, którą tak pogardzasz, jest początkiem twojej fortuny. Ukrywała cię przez dwa miesiące i będzie ci służyć do zatarcia twych śladów przed Baccarat!

– Bądź co bądź, to dzielna to kobieta, mój wuju!

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – szepnął sir Williams z roziskrzonym spojrzeniem, bowiem wspomnienie tej kobiety wywoływało w nim burzę nienawiści i gniewu.

– Mój wuju – powiedział Rocambole, nie potrafiąc ukryć szczerego podziwu dla tego wytrwałego geniuszu swojego mistrza, jaki bezustannie zwyciężany, powstawał bardziej silny i zacięty – sądząc, że w końcu się nam uda, ponieważ widzę, że się nie zniechęcasz.

– Nigdy! – rzekł Williams.

– Przyznaj jednak – ciągnął były wicehrabia – ze straciliśmy siedem milionów: dwa miliony Fernanda Rochera i pięć Dai-Nathy.

– Myślę, że sobie to powetujemy...

– To będzie trudne.

– Trudne, ale nie niemożliwe...

– Oby diabeł cię wysłuchał!

– Powiedz teraz – rzekł poważnie sir Williams – czy bardzo zależyś swojego tytułu szwedzkiego wicehrabiego?

– Do licha, tak! To nadawało mi pewne stanowisko w świecie.

– Chcę ci to wynagrodzić.

– W jaki sposób?

– Uczynię cię brazylijskim markizem.

– Niech to cholera!

– Od teraz będziesz się nazywał don Inigo, markiz de los Montes. Będziesz potomkiem starej rasy hiszpańskiej, zamieszkałej od wieku w Brazylii. Twoi dziadowie, zrujnowani w służbie hiszpańskiej, zrobili bajeczną fortunę w Brazylii, karczując rozległe pustkowia. Ty przyjechałeś do Paryża, aby trwonić pieniądze zebrane z licznych stad wołów, baranów i koni. Jesteś szlachcicem i hodowcą...



– Wszystko to piękne projekty – odparł Rocambole – ale zapominasz o najważniejszej rzeczy, mój wuju.

– O czym?

– Że nie mamy obecnie ani jednego sou. Pięćset tysięcy franków Dai-Nathy rozwiały się w ciągu trzech miesięcy.

– Co tam! – rzekł sir Williams. – Nie pozostaniemy bez środków utrzymania. Ten mój wspaniały brat, hrabia Armand de Kergaz, którego znasz, jeszcze żyje.

– Zażadasz od niego pieniędzy?

– Wczoraj oddał mi do rozporządzenia sto tysięcy franków.

– W jakim celu?

– Na ratowanie pewnej uczciwej kupieckiej rodziny przed niezasłużoną ruiną.

– A ta rodzina została wymyślona?

– My jesteśmy nią, synu. Czyż nie jesteśmy zrujnowanymi przemysłowcami?

– To prawda. Czy jednak sto tysięcy franków na długo nam wystarczy?

– Na trzy miesiące. Będziemy okazali, ale oszczędni. Nic nie wynajmiemy. Zamiast meblować ci apartament, zamieszkas w hotelu Meurice. Znajdę ci czarnego kamerdynera, to znaczy, każę Venture'owi pomalować się dla ciebie na czarno.

– Brawo, mój wuju!

– Postaram się dla ciebie o list polecający od wysoko postawionej osobistości, pana hrabiego de Kergaz.

– Od Armanda? – zawołał Rocambole, zrywając się na łóżku. – Będę miał od niego list?

– Oczywiście, a ten list otworzy ci na oścież podwoje wyższego świata. Teraz będziemy „pracowali” u mego brata.

– Ho, ho!

– Mój Boże! Dużo się nauczyłem – rzekł szczerze sir Williams. – To od niego powinienem zacząć, a nie od Fernanda. Powinienem spodziewać się, że Baccarat otworzy jedno oko i spojrzy na mnie z ukrycia w dniu, w którym jej kochany Fernand będzie w niebezpieczeństwie.

– To prawda. Teraz więc na pierwszym planie mamy Armanda?

– Dokładnie tak. Ale... znasz już dobrze to pchnięcie za tysiąc franków? – zapytał sir Williams.

– To, którego mnie nauczył ów fehmistrz z ulicy Rochecouart pod numerem 41?

– Tak.

– Jestem go pewny tak jak prostego pchnięcia czy podcięcia.

– Doskonale, gdyż niedługo ci posłużę, markizie Inigo de los Montes.

– Przeciw komu?

– Jakiś ty głupi! Chyba nie myślisz, że to na mnie go wypróbujesz. Teraz ustalmy inne rzeczy. Możesz od dzisiejszego wieczora wstawać z łóżka, gdyż twoje położenie ci na to pozwala.

– Czuję, że jestem silny jak lew!

– Włożysz swoją płócienną bluzę, podkute trzewiki, czapkę, zrobisz paczuszkę z kilku manatków i o dziesiątej pojedziesz omnibusem na dworzec kolejowy, a potem w trzeciej klasie koleją żelazną do Hawru.

– Mam jechać do Hawru?

– Tak ci powiedziałem. Tam ulokujesz się w trzeciorzędnym hotelu i będziesz czekał na dalsze moje polecenia.

– Zrozumiałem, wuju.

Sir Williams wyciągnął z kieszeni pięć luidorów i rzucił je na nędzne posłanie Rocambole'a.

– Można ci zadać jedno pytanie, wuju? – rzekł Rocambole.

– Oczywiście.

– Gdybyś kiedyś poślubił wdowę po tym biednym hrabim, Armandzie de Kergaz, ile będzie wynosiła moja część?

– Czterdzieści tysięcy liwrow renty i paszport do Ameryki.

– Jak to? Mielibyśmy się rozdzielić?

– Niestety! Moim marzeniem było i jest zostać porządnym człowiekiem, szlachcicem spędzającym zimę w starym pałacu w Paryżu, a lato i jesień w swych ziemskich posiadłościach, przy pięknej żonie, nieco smutnej, jak na przykład Jeanne, obok małego sieroty, dla którego stałbym się opiekunem i ojcem... – powiedział sir Williams, skromnie spuszczać wzrok. – Rozumiesz więc dobrze, mój synu, że w takiej sytuacji nie będę mógł się spotykać z tego rodzaju nicponiem, jakim jesteś ty...

Andrea roześmiał się swoim cynicznym śmieciem, a Rocambole mimowolnie zadrżał, pomyślawszy o tym dziecku, dla którego ten potwór chciał być opiekunem i ojcem.

Baronet podał rękę swemu uczniowi.

– Teraz żegnaj i do rychłego zobaczenia! – rzekł.

Następnie wyszedł, jak zwykle pokorny, z oczyma spuszczoneymi w ziemię. Odźwierna, spotkawszy go na schodach, była przekonana, że to ksiądz niosący ubogim jałmużnę, i ukloniła mu się z uszanowaniem.

Kiedy znalazł się na ulicy, wszedł do omnibusu, a wyciągnawszy sześć sou z bawełnianej, przetartej i zatłuszczonej sakiewki, w której było widać więcej miedziaków niż srebrnych monet, dał je konduktorowi. Dojechał do Marais, zszedł do placu Royale i zamyślony jak matematyk starający się rozstrzygnąć problem, wszedł na ulicę Culture-Sainte-Catherine.

Trzy miesiące wystarczyły temu człowiekowi wyplutemu przez piekło na zbudowanie nowego rusztowania, wymyślenia nowego planu, nowej machinacji, obrzydliwszej niż inne, przy pomocy której postanowił osiągnąć podwójny cel: zdobyć majątek i dokonać zemsty!

Tego samego dnia wieczorem, o ósmej, Rocambole, przebrany za robotnika, pożegnawszy swą mamę Fipart, odjechał do Hawru zgodnie z poleceniami sir Williamsa.



Rozdział LXXXVII

Don Inigo de los Montes



Tydzień później, około dziesiątej rano, powóz pocztowy wjechał z wielkim hałasem na dziedziniec hotelu Meurice, w którym zwykle zatrzymywali się bogaci cudzoziemscy przyjezdni.

Powóz, zaprzężony w cztery konie prowadzone à la Daumont, wiózł wewnątrz jedną tylko osobę. Był to młodzieniec średniego wzrostu, z twarzą ogorzałą od promieni tropikalnego słońca, o włosach i brodzie czarnych jak heban, ubrany w elegancki strój podróżny, którego kształtną ogorzałą rękę zdobił wielki złoty pierścień z olbrzymim diamentem. Ten właśnie pierścień, świadczący we Francji o braku dobrego gustu, dostatecznie potwierdzał cudzoziemskie pochodzenie tego osobnika.

W tyle, za powozem, trzymając się skórzanych pasów, siedział Murzyn o majestatycznej tuszy, kędzierzawych włosach, grubych wargach i białych zębach.

Pomimo swej okazałej tuszy Murzyn dość zwinnie zeskoczył na ziemię i pytał o coś w języku hiszpańskim pomieszanym z gwarą kreolską chłopca hotelowego. W hotelu Meurice, jak we wszystkich pierwszorzędnych europejskich instytucjach tego rodzaju, znajduje się osobny chłopiec do każdego z języków. Ten, który mówił po hiszpańsku, odłączył się od grupy służących stojących na podeście i zbliżył się do podróżnego w celu otrzymania poleceń.

Cudzoziemiec miał bez wątpienia zwyczaj niewydawania sam rozporządzeń, jak hidalgo, który się szanuje i unika wszelkich zetknięć z podrzędną służbą, ponieważ przez cieszącego się jego zaufaniem grubego Murzyna zażądał najwspanialszego apartamentu w hotelu, oznajmiającego jednocześnie, że jego pan, markiz don Inigo de los Montes, spędzi miesiąc w Paryżu.

Markiz wysiadł z powozu z nonszalancją południowca, pozwolił się zaprowadzić do przeznaczonego dla niego apartamentu i zażądał widzenia się z zarządzającym hotelem, który natychmiast przybiegł.

– Czy zna pan – zapytał go markiz dość czysto po francusku, ale z silnym hiszpańskim akcentem – hrabiego de Kergaz?

– Z nazwiska tak, panie markizie.

– Jego pałac jest daleko stąd?

– Przy ulicy Culture-Sainte-Catherine.

– Daleko stąd?

– Nie.

Markiz usiadł przy stoliku, wziął pióro i napisał następujący list:

Panie hrabio!

Wybacz mi może zbyt wielką zuchwałość, jakiej się dopuszczam w stosunku do Pana, nie wiedząc, czy jest to przyjęte we francuskich formach towarzyskich.

Przybywam z Brazylii z zamiarem zamieszkania przez kilka miesięcy w Paryżu.

Mój bankier z Rio de Janeiro udzielił mi akredytywy² do swego korespondenta z Hawru, pana Urbaina Mortonnetta, któremu powierzyłem ten interes, nie znając nikogo we Francji, który jednocześnie wręczył mi list rekomendacyjny do pana, z którym, jak mi powiedział, pozostaje w bliskich stosunkach. Z wdzięcznością przyjąłem tę przysługę.

Otóż, Panie hrabio, przed godziną przybywszy do Paryża, ośmielałem się pisać do pana, prosząc o pozwolenie o osobiste przedstawienie się w Pańskim pałacu i własnoręczne doręczenie listu pana Mortonnetta.

Po zwyczajowych grzecznościowych formułkach zamieszczanych w listach podpisał się jako markiz don Inigo de los Montes.

Zapieczętował list czarnym woskiem i odcisnął w nim wspinały, trochę skomplikowany herb, jaki był wyryty na pieczęci przyczepionej do brełka.

List pana Mortonnetta zawierał te słowa:

Panie hrabio!

Polecono mi w Brazylii w prostej linii młodego, bardzo bogatego człowieka, o ile mogę sądzić z akredytywy na trzydzieści

² Akredytywa – forma rozliczeń bezgotówkowych krajowych i zagranicznych za pośrednictwem banku; także dokument potwierdzający te czynności.

tysięcy franków miesięcznie, noszącego jedno ze wspanialszych nazwisk starej Kastylii.

Markiz don Inigo de los Montes jest z pochodzenia Hiszpanem. Jego dziadowie, skompromitowani za konspirację za panowania Filipa V, przenieśli się do Brazylii, by tam się osiedlić.

Markiz jest urodziwym, dystyngowanym młodzieńcem. Jestem pewny, że w paryskich wyższych sferach miałby powodzenie, gdybyś Pan, Panie hrabio, zechciał mu służyć za mentora. Czy mógłbym liczyć na Pańską życzliwość, Panie hrabio?

Ośmielam się żywić taką nadzieję i pozostaję z wyrazami szacunku

*Pański bardzo wdzięczny
Urbain Mortonnet*

Wystarczy nam kilka zdań, by wyjaśnić wpływ, jaki mógł mieć ten list na postępowanie pana de Kergaz.

Cztery lata wcześniej, to jest na kilka miesięcy przed poślubieniem panny Jeanne de Balder, Armand, który jak sobie przypominamy, był wykonawcą testamentu barona Kermora de Kermarouet, powierzył uregulowanie tej sukcesji panu Urbainowi Mortonnetowi.

Wspomniany bankier i zarazem armator był uczciwym człowiekiem, którego upadłość dwóch angielskich przedsiębiorstw, z którymi pozostawał powiązany, był prawie zrujnowany. Gdy hrabia de Kergaz zażądał od niego wypłacenia sumy pięciuset tysięcy franków, nieszczęśliwy człowiek postanowił zakończyć życie samobójstwem. Armand, odgadłszy wszystko, wówczas go ocalił. Trzy lata wystarczyły panu Mortonnetowi do odzyskania nadwyrężonego majątku i wypłacenia zaciągniętego długu panu de Kergaz, który odtąd uważał go za najuczciwszego i najgodniejszego człowieka na świecie.

Jakim sposobem markiz don Inigo zdołał nadużyć dobrej wiary pana Mortonnet? Jak bankier udzielił mu regularnego kredytu i wzruszony jego pięknym wyglądem, zaoferował mu list rekomendacyjny do hrabiego? Wyjaśnimy to później.

Oba listy: markiza i pana Mortonnet zostały natychmiast odniesione do pałacu de Kergaz.

Godzinę później, gdy bogaty Brazylijczyk kończył swą toaletę, kareta z herbem Armanda de Kergaz wjechała na dziedziniec hotelu

Meurice. Wsiadł z niej mężczyzna i zażądał widzenia się z markizem. Nie był to jednak Armand, jak można było przypuszczać, ale jego brat, wicehrabia Andrea, świętobliwy człowiek, myślący jedynie o zbawieniu duszy. Wicehrabia Andrea został poprowadzony do apartamentu markiza, powitał młodzieńca z głębokim uszanowaniem, jakby był zwykłym intendentem. Wtedy oznajmił mu, że hrabia Armand de Kergaz, będąc nieco cierpiący, przysłał go w swoim zastępstwie i będzie szczęśliwy i zaszczycony, mogąc przyjąć go u siebie.

Wicehrabia Andrea okazywał wobec hotelowej służby markizowi don Inigo de los Montes tak głębokie uszanowanie, że wszyscy byli przekonani o bardzo wysokiej pozycji społecznej młodego cudzoziemca.

Markiz wsiadł do karety z wicehrabią Andrea, a gdy kareta ruszyła z miejsca, ten ostatni pochyliwszy się ku Brazylijczykowi, szepnął mu na ucho:

- Chodź, młody wilczku, wprowadzę cię do owczarni.
- Na szczęście mam dobre zęby! – odparł domniemany markiz, w uśmiechu ukazując białe i drapieżne siekacze.



Rozdział LXXXVIII

W drodze



Należałoby mieć dwa wyrzuty do relacjonującego cały dramat. Po pierwsze można było się dziwić, że pan de Kergaz, świetna postać, bohater pierwszej części tej powieści, tak długo znajdował się na dalszym planie w części drugiej. Po drugie można było uważać za coś nadzwyczajnego to bezgraniczne zaufanie, które ostatecznie okazywał skruszonemu Andrei, swojemu bratu.

Wystarczy kilka słów na nasze usprawiedliwienie.

Przed wszystkim niezliczone wypadki, jakie wcześniej opisaliśmy, następowały tak szybko jedno po drugim, że pan de Kergaz zaledwie był o nich powiadamiany. Cały oddany swemu domowemu szczęściu, uważał swojego brata za jedyne go wyręczyciela, chętnie zdając na niego to, co nazywał swymi obowiązkami, to znaczy filantropijne działanie, jakie sobie nakazał.

Gdybyśmy jednak, pomimo wszystkiego, uważali za zbyt łatwego tego inteligentnego, uczciwego i energicznego człowieka, jego, który już raz potrafił powalić sir Williamsa i mógłby go powtórnie zdemaskować, przypomnijmy sobie, z jaką cierpliwością i niesłychaną wprawą ten potwór wyznaczał jeden po drugim odległe od siebie punkty swej zemsty. Przypomnijmy tę jego skrucę, tak mistrzowsko odegraną, ów dziennik spisywany dzień po dniu w milczeniu i osamotnieniu, wyjawiający na każdej swej stronie cierpienia duszy, nękaną zgryzotami zbrodni... Zaprawdę, potrzeba by było takiej przewrotności jak Andrei, lub być obdarzonym taką cudowną przenikliwością, graniczącą z cudem, jaką posiadała Baccarat, którą czerpała w swojej ukrytej miłości dla Fernanda, by choć przez chwilę podejrzewać o fałszywą skrucę tego wielkiego winowajcę.

Sir Williams zamieszkiwał zimą w swej nędznej norze; sir Williams modlił się i płakał nad swoją ohydą przeszłością; sir Williams

prowadził dla siebie dziennik, który był monumentem skruchy i pokuty. Czyż więc szlachetna i szczerza natura hrabiego wspomagana tym tajemniczym głosem braterskiej krwi, który posiada bezsprzeczną władzę, mogła pozostawać w ciągłej nieufności? Nie.

Poza tym Armand był szczęśliwy, a jednym z charakterystycznych rysów szczęścia jest, że użycza ono wszystkim rzeczom własnych barw, że tak powiemy, sentymentalnych. Człowiek, walczący z przeciwnościami losu będzie zawsze bardziej przenikliwy niż ten, którego życie płynie spokojnie, bez trosk.

Wracajmy jednak do wydarzeń.

W dniu, w którym markiz Inigo de los Montes wchodził do hotelu Meurice, prawie o tej samej porze, kiedy pisał list do hrabiego de Kergaz i dołączył list polecający pana Urbaina Mortonnetta z Hawru, Armand był sam ze swoją żoną i synkiem. Małżonkowie przebywali w rozległym ogrodzie, gęsto porośniętym drzewami, który rozciągał się na tyłach pałacu przy ulicy Culture-Sainte-Catherine. Był to piękny poranek pełen słońca, wiosennych wietrzyków, jeden z tych poranków, kiedy kocha się życie. Dziecko bawiło się na wyrastającej młodej trawie, a ojciec i matka przechadzali się, rozmawiając.

– Moja droga – zagadnął hrabia – czy nie wydaje ci się, że od kilku dni Andrea jest mniej smutny i mniej przygnębiony?

– Przynajmniej pozornie – odpowiedziała Jeanne.

– Biedny brat! – stwierdził hrabia.

– Och, mój drogi! – rzekła Jeanne z emocją. – Od czasu, gdy odkryłam jego fatalny sekret, nie mogę żyć, nie sypiam, cierpię jak na torturach.

– Nie jest to prawdziwy dopust Boży? – szepnęła Armand, wzdychając.

– To prawda, lecz czy on już nie dość wycierpiał?

Hrabia nic nie odpowiedział.

– Posłuchaj – mówiła dalej pani de Kergaz – sądzę, że gdybyśmy mogli trochę odsunąć go od nas... przynajmniej ode mnie, to czas i odosobnienie...

– On nie chce nas opuścić. Nie znasz Andrei, moja ukochana Jeanne! Jest to natura dzika, energiczna, namiętna, która wnosi w swoją pokutę burzliwość i upór, jakie rozwijał niegdyś w planach swych zbrodni. Jest przekonany, że palec Boga jako karę naznaczył mu tę

występną miłość do ciebie wbrew sobie samemu i że wypływające stąd jego cierpienia są pokutą, od której nie ma prawa się uchylać.

– A gdybyśmy wyjechali na wieś, Armandzie? – zapytała nagle Jeanne pod wpływem nagłej myśli. – Jest początek maja, czas przesłiczny, nasz mały Armand także potrzebuje świeżego powietrza.

– To prawda – rzekł hrabia z uśmiechem. – Gdybyśmy zamieszkali w naszej małej willi nad brzegiem Sekwany w Chatou³, może Andrea by za nami nie pojechał?

– Tak, tak pewno będzie. Powierzysz mu tu różne misje do spełnienia...

– Sądzisz więc, że będąc dalej od ciebie, mniej będzie cierpiał?

– Tak myślę... Przynajmniej mam taką nadzieję...

– Niech więc tak będzie – rzekł hrabia, a spojrzawszy uważnie na żonę, dostrzegł, że była mocno blada, zmieniona i przygnębiona.

Rzeczywiście, od czasu, kiedy pani de Kergaz znalazła i wprost pozarła dziennik wicehrabiego Andrei, była przekonana, że ten nędznik ją kochał. Dręczyła ją ta myśl i odczuwała bolesne emocje. Za każdym razem, gdy domniemany pokutnik spojrzał na nią lub przemówił do niej bądź przy stole, bądź w salonie, wszędzie, gdzie się spotykali, biedna kobieta w mniemaniu, że nieszczęśnik musi doznawać okrutnych cierpień, sama odczuwała, że mdleje. Na próżno miłość męża, pieśczęty dziecka, słowem wszelkie to szlachetne radości domowego ogniska łączyły się, aby uczynić Jeanne najszczęśliwszą z kobiet... Odkrycie tej strasznej tajemnicy na zawsze zatrulo jej życie.

– Gdzie więc chcesz pojechać? – zapytał pan de Kergaz.

– Och! – powiedziała, uśmiechając się. – Zakochałam się w willi w Chatou.

– Chętnie się zgodzę.

– Kiedy wyjedziemy? – pytała z dziecinną radością.

– Kiedy tylko zechcesz...

– A więc jutro rano.

– Zgoda!

– Każę przygotować nasze kufry i paczki. Ze służby weźmiemy ze sobą tylko pokojówkę i lokaja. Ach, mój ukochany Armandzie! – powiedziała Jeanne, na której ustach pojawił się spokojny, piękny

³ Chatou – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Yvelines, dziesięć kilometrów od Paryża; przez miejscowość przepływa Sekwana.



uśmiech. – Z góry cieszę się na nasze długie przechadzki nad brzegiem rzeki w ocienionych dolinach, w tej pięknej okolicy, tak oddalonej i tak zarazem bliskiej Paryża.

Rozmowa obojga przerwana została odgłosem zbliżających się kroków na piaszczystej alejce.

Odwróciwszy się, spostrzegli zbliżającego się Andreę. Ten świątobliwy człowiek szedł jak zwykle ze spuszczonej w ziemię wzrokiem. Na widok Jeanne mimowolnie zadrżał. To drgnięcie nie uszło uwadze pani de Kergaz i jej dziecięca radość, jakiej przed chwilą doświadczała, zniknęła wobec smętnej bolesti, o którą się oskarżała, iż jest jej bezwiedną przyczyną.

– Dzień dobry, bracie! – rzekł hrabia, podając rękę nadchodzącemu. – Jakże się miewasz?

– Bardzo dobrze – odparł Andrea z wymuszonym uśmiechem, składając ukłon Jeanne.

– Zatem udziel nam pewnej rady, Andreo.

Andrea popatrzył na hrabiego pytającym wzrokiem.

– O cóż chodzi?

– Jeanne jest nieco cierpiąca i chciałbym ją zabrać ze sobą na wieś.

– Ach! – zdziwił się Andrea, który wiedział, jak w odpowiedniej chwili zbladnąć i nadal mieć wzrok wbity w ziemię.

– Jest maj, najpiękniejszy z wiosennych miesięcy. Chcielibyśmy wyjechać jutro.

– To i mnie z sobą zabierzcie – powiedział.

Hrabia zmarszczył brwi.

– Musiałbym jednak pozostawić cię w Paryżu – odrzekł.

– To pozostanę, mój bracie.

– Mimo to, gdybyś się tu bardzo nudził, możesz niekiedy do nas przyjeżdżać. Jedziemy niedaleko, bo tylko do Chatou.

Ustalenia te, podjęte bez porady wicehrabiego Andrei, niewątpliwie trochę zakłócały jego plany, ponieważ pozostawał dość zamyślony.

Jeanne ukradkiem rzuciła wymowne spojrzenie mężowi, jakby chcąc powiedzieć:

– On chce jechać z nami... Co począć?

Niewątpliwie Andrea miał już w jakikolwiek sposób rozciąć tę kwestię, gdy ukazał się lokaj niosący listy na tacy. Były to listy markiza



Odwróciwszy się, spostrzegli zbliżającego się Andreę. Ten światobliwy człowiek szedł jak zwykle ze spuszczoneym w ziemię wzrokiem.

Inigo de los Montes i pana Urbaina Mortonneteta, wysłane z hotelu Meurice.

Armand odczytał pierwszy z niejakim zdziwieniem, a po lekturze drugiego natychmiast poczuł instynktowną życzliwość dla tego nieznanego, który już uważał go, z czarującą pewnością młodości, za swoją Gwiazdę Polarną na paryskim oceanie.

Podał oba listy najpierw swej żonie, a potem bratu.

– Jak mi się wydaje, może to przeszkodzić naszym projektom wyjazdu – stwierdziła Jeanne.

– W czym?

– Nie możesz, mój przyjacielu, odmówić panu Mortonnetowi służenia za przewodnika temu cudzoziemcowi.

Hrabia uśmiechnął się.

– Oj, ty wariatko! – rzekł. – Czyż wyjazd do Chatou oznacza opuszczenie Paryża? Markiz don Inigo będzie nas tam czasami odwiedzał. Zresztą, czy i ja nie będę prawie codziennie bywał w Paryżu?

– Masz rację – odparła hrabina.

– Tak więc, mój Andreo – rzekł Armand zwracając się do brata – weź mój powóz, pojedź do hotelu Meurice i poproś markiza don Inigo, aby zechciał przybyć do nas na obiad.

– Natychmiast ruszam – odparł Andrea, który zdał sobie sprawę, że jego plany zostały mniej zakłócone, niż początkowo sądził.

Pozostawił samych Jeanne i Armanda, którzy wzięwszy dziecko za ręce, słuchali, uśmiechając się, jego rozkosznego szczebiotania.

Jak wiemy, kilka chwil później wicehrabia Andrea, przybywszy do hotelu Meurice, wymienił głośno nazwisko hrabiego de Kergaz, traktując z najgłębszym uszanowaniem markiza don Inigo de los Montes, a skoro wsiedli obaj do powozu Armanda, szepnęła na ucho swemu towarzyszowi:

– Chodź, młody wilczku, wprowadzę cię do owczarni.

Powóz odjechał szybkim kłusem. Wówczas markiz don Inigo de los Montes i wicehrabia Andrea spojrzeli na siebie.

– Słowo honoru, mój synu... – zaczął Andrea – urodziłeś się na wielkiego pana! Markiz albo wicehrabia, Szwed czy Brazylijczyk, masz niezrównaną minę...

– Wszakże wyszedłem z twojej szkoły, wuju! – odparł na wpół drwiącym tonem domniemany markiz.

„Ach, ten głupi Armand – pomyślał sir Williams – daje się oszukać jak prawdziwy głupek!”.

Potem uważnie spojrział na swego ucznia.

– Obecnie zupełnie nie jesteś podobny do wicehrabiego de Cambolh – stwierdził – a ja w niczym nie przypominam sir Arthura Collinsa.

– Kto wie – odparł Rocambole, gdyż to był on – czy Baccarat by mnie nie rozpoznała?

– Nigdy! Zresztą, teraz się jej nie obawiam.

– Tak?

– Och, znowu stałem się dla niej świętobliwym człowiekiem...

– Jesteś tego pewny?

– Do licha, tak!

– I przebaczyłeś jej?

Na cienkich wargach sir Williamsa pojawił się zły, szatański uśmiech.

– Czyżby przypadkiem markiz don Inigo miałby być głupszy od wicehrabiego de Cambolh?

– Ależ nie.

– Jak możesz pytać, czy przebaczyłem kobiecie, która z jednej strony wydarła nam siedem milionów, a z drugiej dwanaście?

– Zgadza się ... Ale jaki los jej gotujesz?

– Ha, jeszcze za bardzo nie wiem, ale będzie odpowiedni, zapewniam cię – odparł sir Williams, a następnie z uśmiechem mogącym budzić trwogę dodał: – To jeszcze nie ta pora... Teraz myślę tylko o Armandzie.

– Och, doskonale się wyuczyłem tego ciosu za tysiąc franków! – rzucił Rocambole.

– Naprawdę?

– Za skórę hrabiego nie dałbym nawet jednego ecu – odrzekł Rocambole. – Pozwól sobie jednak powiedzieć, mój wuju, że masz oryginalny sposób zgładzania ludzi.

– Tak uważasz?

– Najpierw przedstawiasz im ich przyszłych przeciwników jako przyjaciół.

– Och, to bierze się stąd, że moje projekty są bardzo złożone.

– Mogę je poznać?

– Tylko w połowie.

Sir Williams zmierzył wzrokiem swego towarzysza, jak handlarz patrzący na konie i szacujący jego wartość.

– Markizie – powiedział – jesteś całkiem przystojnym chłopcem, masz hiszpańską krew w żyłach, urodziłeś się na tropikalnych szerokościach geograficznych i musisz mieć serce wrzące i podatne na wielkie namiętności.

– Zdanie żywcem wyjęte z repertuaru Ambigu-Comique – szepnęła Rocambole, w którym odrodził się paryski ulicznik.

– Hrabina de Kergaz – mówił dalej Williams – jest biała jak lilia, piękna jak Madonna Rafaela. Markiz don Inigo de los Montes powinien więc zakochać się w niej szalenie od pierwszego wejrzenia.

– Co? – zapytał zdumiony Rocambole,

– Markiz Inigo – ciągnął flegmatycznie sir Williams – jest łajdakiem, nicponiem żartującym sobie z cnoty kobiet, z honoru mężów i jest zdolny do wszystkiego. Powinien beczelnie umizgiwać się do pani de Kergaz.

– Ależ, wuju... Chyba masz przywidzenia! – zawołał Rocambole.

– Bynajmniej.

– No to jesteś zakochany!

– W kim?

– Przecież ty kochasz hrabinę Jeanne.

– Cóż z tego?

– Chcesz więc, abym ci podciął nogi?

– Głupiec, zawsze głupiec! – westchnął pobożny Andrea.

– Ale przecież...

– Och, ty zwierzaku! – zawołał baronet. – Czy nie rozumiesz, że gdy będziesz się zalecał do hrabiny, ja wtedy poszukam z tobą zwady?

– Żartujesz?

– Będziesz się ze mną pojedynekował.

– Ależ, mój wuju...

– W oczach Jeanne stanę się jej zbawcą, człowiekiem czuwającym nad jej spokojem, oddanym bratem, który chce ocalić honor brata.

– Ależ on...

– Kto, „on”?

– No, Armand...

– On będzie wiedział tylko, że pojedynekowałeś się ze mną z powodu Jeanne, tak że później stanie naprzeciw ciebie ze szpadą w ręku... Rozumiesz teraz?

– Do licha, mój wuju! – odrzekł domniemany markiz don Inigo. – Przyznaję, że nie sięgałem tak daleko wzrokiem... Stanowczo jesteś wspaniałym kombinatorem i oddaję pokłon twojej wyższości.

– Zamilcz teraz – szepnął Williams – i przybierz właściwą postawę, łajdaku, bo wjeżdżamy do pałacu państwa de Kergaz.

– Dobrze. Staję się markizem. Niczego się nie obawiaj, wuju.

Obaj bandyci przybrali poważne miny i sztywne postawy jak ludzie, którzy przed godziną wcale się nie znali.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

